
Nieznany list Konrada Prószyńskiego-Promyka

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 5/2, 174-181

1966

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

NIEZNANY LIST KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO — PROMYKA

Do druku podał Zenon Kmiecik

Zamieszczony niżej list Konrada Prószyńskiego — Promyka (1851—1903), wybitnego pedagoga i postępowego działacza społecznego, pochodzi ze zbiorów Biblioteki Narodowej, Dział Rękopisów (sygn. 5963). Niektóre fragmenty korespondencji Prószyńskiego drukowała „Gazeta Świąteczna” w latach 1931 i 1933. List Prószyńskiego do Adama Szymańskiego zawiera wiele cennych wspomnień i uwag dotyczących dziejów „Gazety Świątecznej”, nie uwzględnionych w dotychczasowych opracowaniach o dziejach prasy ludowej w Królestwie Polskim. „Gazeta Świąteczna”, tygodnik oświatowy dla wsi, ukazywała się w latach 1881—1939. K. Prószyński był jej założycielem.

KONRAD PRÓSZYŃSKI DO ADAMA SZYMAŃSKIEGO¹

[Warszawa] 25 III 1899 r.

Żądasz, żebym „krótko i węzłowato”, a „po swojemu”, to znaczy zapewne szczerze, wypowiedział, co uważam za rzecz najpilniejszą, gdy idzie o zużytkowanie dobrych chęci i o wprowadzenie w czyn zamiaru ludzi, którzy pragną podjąć jakieś wydawnictwo dla ludu. Będę więc przede wszystkim i bezwzględnie szczerym i powiem to, co już od dawna, szczególnie zaś ostatnimi czasy stało się główną i wielką troską mego serca. Zaczniemy jednak od tego, co w liście potrąciłeś. Wiem, że wydano we Lwowie „encyklopedię dla ludu”, alem jej jeszcze nie oglądał, chociaż ciekaw jestem. Że się rozeszła w 3000 choćby tylko w samej Galicji, nie świadczy to jeszcze bynajmniej o doniosłości i pożytku z tego wydawnictwa². Książka „o wszystkim” jest dla ogółu umiejącego czytać zawsze

¹ Adam Szymański — literat ur. 1852 r. W 1877 r. brał udział w konspiracyjnym Rządzie Narodowym. Zesłany za to na Syberię przebywa tam do 1894 r. Był współpracownikiem wielu pism: „Opiekuna Domowego”, „Tygodnika Powszechnego”, „Przeglądu Tygodniowego”, „Kraju”. Swoje prace ogłaszał w pismach literackich polskich i rosyjskich. A. Szymański był autorem pierwszej obszernej pracy o K. Prószyńskim pt. *Najlepszy elementarz świata*, Kraków 1904.

² Chodzi Prószyńskiemu o wydawnictwo dla ludu Polskiej Macierzy we Lwowie pt. *Encyklopedia. Zbiór ze wszystkich gałęzi wiedzy*. Dzieło to, w dwu tomach, ukazało się w 1896 r. Nakład jego wynoszący 5000 egzemplarzy rozkolportowano w ciągu dwu lat.

bardzo pożądana i chętnie ją wszyscy nabywają, gdy jest tania. Tanie są zaś wydawnictwa „Macierzy”, a w rozprawy ich niezmiernie dużo znaczy pośrednictwo galicyjskiej Rady Krajowej i wszystkich niższych od niej autonomicznych urzędów. Nie przeczę, że takie dzieło może i powinno być pożyteczne. Ale ... czy możemy zdobyć się na nie? Przed laty kilkunastu wpadł na myśl wydania encyklopedii dla ludu jeden ze znanych mieszkańców Warszawy. Zachęcał też mnie niejednokrotnie i gorąco, że bym się wziął do opracowania lub zredagowania takiej książki. Zastanawiałem się więc nad tą sprawą i doszedłem do przekonania, że książka taka nie mogłaby być u nas dziś i może długo jeszcze niczym innym, jak dziełem poronionym. Encyklopedia winna być skrótem mnóstwa prac specjalnych. Nadto encyklopedia dla ogółu naszego, dla milionów (nie jestem zwolennikiem oklepanego zbyt wyrażenia „dla ludu”) winna koniecznie w pełni czynić zadość wymaganiom i potrzebom najliczniejszych warstw narodu, a to pod względem formy, jasności i wykładu, zrozumiałości dla wszystkich i pod względem trafności, pożyteczności w wyborze przedmiotów głównych i ich części składowych. Któż wykona takie dzieło? Należałoby zaprząć do tej pracy czy to jednego człowieka lub grono nieliczne ludzi, albo też powierzyć części licznym specjalistom. Otóż w pierwszym wypadku, choćby do pracy tej wziął się człowiek najbardziej uzdolniony, a nawet grono zdolnych ludzi, wykonaliby ją należycie tylko w takim razie, gdyby mieli materiał dobrze obrobiony. Materiałem zaś takim musi być nie co innego, jeno monografie zupełnie dobrze pod względem formy i treści, i pożytku opracowane. Z takich tylko materiałów redaktorowie, i to należycie uzdolnieni, potrafiliby dobre wyciągi, skróty poczynić. Ale tu jest trudność nie do pokonania. Najpierw pytanie, czy znajdziemy tak uzdolnionych redaktorów? Po wtóre — gdzie te materiały dla nich? Znajdzie się kilka lub kilkanaście książek, które już istotnie są materiałem odpowiadającym potrzebie. Kilka działów można by w encyklopedii „dla ludu” opracować porządnie, z istotnym pożytkiem dla ogółu czytających. Lecz to tylko drobna cząstka tego, co encyklopedia zawierać winna. Dla 99/100 encyklopedii „ludowej” materiałów jeszcze nie mamy i nieprędko chyba mieć je będziemy. Ludzie, którzy się wezmą do opracowania encyklopedii takiej, czerpiąc materiał z dzieł dla milionowego ogółu niezrozumiałych i nieużytecznych, niepraktycznych, daremnie tylko siły swe, czas i pieniądze zużyją. Wyjdzie z ich rąk marnota, łudząca tylko ogół, bez istotnego dlań pożytku. Więc cóż? chwycić się drugiego sposobu: powołać do opracowania encyklopedii licznych współpracowników, specjalistów? To tym bardziej niemożliwe. Choć mamy specjalistów znających swój przedmiot, ale gdzież są ci, którzy by znali zarazem istotne potrzeby najliczniejszych warstw naszych i umieli pod względem formy do wymagań tych warstw się stosować? Jeśli i o ile tacy się znajdują,

niechże się wezmą do opracowania dzieł na ogółu pojedynczych rzeczom i działom poświęconych, dzieł, z których by dopiero z czasem urósł materiał do utworzenia encyklopedii.

Przechodzę do sprawy, którą uważam dziś za najlepszą. Wypadki, których byłem świadkiem z bliska, a po trosze nawet uczestnikiem bezpośrednim, mając zaledwie lat 10 — 14, sprawiły, że bardzo wcześnie zaczął się krytycznie zapatrywać na stan ogółu naszego. Dawno doszedłem do przeświadczenia, że ogółem, narodem są nie te warstwy jako tako uświadomione, dla których wyłącznie prawie pracowała literatura, nauka i prasa (jak i dotąd pracuje), ale jest tym ogółem masa ciemna, zaniedbana, nieświadoma, przez owe warstwy zwana „ludem”. Z początku, przez lat dziesięć, wiedziałem tylko, że trzeba ten ogół ożywić, ale nie umiałem sobie jeszcze jasno zdać sprawy, co i jak w tym celu czynić należy. Sam marzyłem o drodze dla siebie, która okazała się nie wiodącą do celu. Mając rok 19-ty uczułem się już rozbitkiem. Odtąd czas jakiś (lat kilka) ratowałem głównie tylko siebie, żeby nie zatonać marnie i znaleźć grunt pod nogami. Dopłynąwszy doń, jakkolwiek pojmowałem znaczenie oświaty mas i jej potrzebę u nas, w sobie jednak nie czułem jeszcze wyraźnego powołania do pracy na tym polu. Dopiero po omacku doszedłem do przeświadczenia, że przede wszystkim trzeba masom naszym ułatwić naukę czytania i następnie drukiem do nich trafić. Ponieważ zaś nikt jakoś do tego się nie brał podówczas, zacząłem sam słabszych sił swoich próbować na tej drodze. I stało się, że próby uwieńczyły się skutkiem względnie pomyślnym. Nie jakieś szczególne wrodzone zdolności, których natura mi nie dała, ale istotna potrzeba ogółu naszego z jednej strony, z drugiej zaś świadomość celu i gorąca chęć wniknięcia w umysły mas, trafienia do nich spowodowały ten skutek. Po pięciu latach pracy na owej drodze był już kawałek nowiny wykarczowanej i przysposobionej do orki i siewu za pomocą pisma periodycznego. O wiele dawniej już wprowadzie wychodziło w Warszawie tak zwane pismo ludowe, ale w małej bardzo ilości, nie dosiegając nawet tysiąca egzemplarzy, i sprowadzane jedynie przez niektórych księży i dwory dla ich służby. Kiedy zaś pod koniec 1880 roku zdołałem uzyskać koncesję na „Gazetę Świąteczną” i rozesłałem o niej wiadomości drogami utorowanymi przez drukowane w ciągu pięciu lat poprzednich książeczki i elementarze, wnet zapisało się na nią 2500 przedpłatników. Potem liczba ich stopniowo wzrastała i powoli doszła do tego, że dziś muszę drukować 12 600 egzemplarzy. Szczególniej pocieszającym jest ten fakt, że przedpłatnikami są niemal wyłącznie ci czytelnicy, dla których „Gazeta Świąteczna” jest przeznaczona, nie zaś protektorowie oświaty z „wyższych stanów”. Co więcej, popieraczami bardzo gorliwymi oświaty stają się sami czytelnicy „Gazety”, włościanie, robotnicy fabryczni, po trosze i drobna szlachta. Nie tylko udzielają oni odczytane przez

siebie numery sąsiadom, ale coraz częściej się zdarza, że ubogi człowiek, co sam za ledwo czytać umie, oszczędza grosz i czyni ze swych pieniędzy ofiarę, zakupując drugi egzemplarz „Gazety” na zachętę dla kogoś w takiej wiosce, gdzie jeszcze ludzie nie są do czytania wdrożeni i nie chcą sami płacić za siebie. Jakie życie panuje wśród czytelników, pojmie ten tylko, kto siedzi w redakcji, gawędzi z przychodzącymi wieśniakami i odczytuje napływające od nich nieustannie listy.

Drugie pismo „ludowe”, dawniejsze, od czasu, jak „Gazeta Świąteczna” zaczęła wychodzić, stara się iść jej śladem. I nie straciło na współzawodnictwie, lecz dużo zyskało, gdyż drukuje się dziś już w czterech tysiącach egzemplarzy, a czytelnicy jego rekrutują się przeważnie z tych, którzy na „Gazecie Świątecznej” wdrożyli się w czytanie. Dziś zwykle jeden sąsiad sprowadza jedno pismo, a drugi inne, aby nawzajem obydwu sobie wypożyczać. Do drugiego pisma nęcą szczególnie obrazki, na które „Gazeta Świąteczna” dotąd koncesji nie uzyskiwała. 12 600 egzemplarzy „Gazety Świątecznej”, jakkolwiek wydają się liczbą pokaźną i dają niezłą podstawę materialną wydawnictwu, w istocie jednak są liczbą małą. „Gazeta Świąteczna” winna stopniowo dojść do 30 000 przynajmniej, bo więcej niż 30 tysięcy jest wiosek i osad w samym Królestwie. Dotąd w wielu miejscowościach pisma tego jeszcze nie znają wcale. Czytelnictwo jego szerzy się kępkami po kraju. Dokąd przypadkiem jeden egzemplarz zabłądził, tam po paru latach czytelnicy, jak sami często piszą i mówią, bez „Gazety” obyć się już nie mogą, a liczba ich wzrasta. Może by już do tego czasu nawet „Gazeta” miała owe 30 000 przedpłatników, ale niestety, na przeszkodzie temu stały niektóre pisma o kierunkach krańcowych i ze względów stronnicych lub prywatnych wrogie dla „Gazety Świątecznej”, a wpływowe wśród znacznej liczby duchowieństwa i niektórych warstw inteligencji wiejskiej. Systematycznie i wytrwale przez lat kilkanaście, z gorliwością godną lepszej sprawy, rzucaniem podejrzeń najdziwaczniejszych, to tendencyjną i kłamliwą krytyką, to zmyślaniem plotek oszczerczych starano się w tych pismach, i nie bez skutku, powstrzymać inteligencję świecką i duchowną od popierania „Gazety Świąt.”, a nawet nakłonić do jej prześladowania. Reszta zaś prasy naszej, nie prostując bynajmniej takich występów, zachowywała się zwykle najzupełniej obojętnie.

Drugą przeszkodą do szybszego rozwoju czytelnictwa były, bardzo złe pod innymi względami czasy dla „Gazety Świątecznej” w ciągu ubiegłych kilkunastu lat jej istnienia. Teraz, zdaje się, przez najtrudniejsze przeprawy już się przeszło i jeśli pomimo nich „Gazeta” liczebnie się rozwijała, to jest nadzieja, że w przyszłości rozwijać się będzie lepiej, ale ... jeśli tylko jej samej własnych sił żywotnych nie zabraknie.

Nie o zewnętrzną ani o materialną stronę tu idzie. Nasuwają mi się obawy inne, co do sił wewnętrznych... A obawy to niepłonne. Nie bierz mi za złe tego, co szczerze, z głębi przekonania, serca i umysłu Ci powiem. Oto uważam za najważniejszą i najpilniejszą dziś sprawę zapewnienie nadal bytu takiej „Gazecie Świątecznej”. A o ten jej byt, a raczej może o przyszłą jej jakość i jej kierunek się obawiam. Dotąd stoję i pracuję niemal sam jeden. Oprócz jednej niemłodej już i wątłego zdrowia osoby, panny należycie wykształconej, sumiennej i zacnej, która jest sekretarką redakcji, nie znalazłem nikogo, na którym pisanie i zmyśle redakcyjnym mógłbym polegać. Poszukiwania i konkursy nie wydały owocu pożądanego. Nie mam zastępcy ani następcy. Ludzie nie pojmują wprost, co i jak dla tego naszego ogółu, zwanego ludem, pisać należy. Widzę, że nie ma innej rady, tylko trzeba zebrać gronko ludzi społecznie wyrobionych, mających wykształcenie ogólne odpowiednie, a chcących pracować na niwie piśmiennictwa dla pożytku szerokiego ogółu, i zniewolić ich do studiów specjalnych, po części teoretycznych, a bardziej jeszcze praktycznych. Trzeba ułożyć kurs systematyczny wykładów i ćwiczeń i po prostu uczyć tych dobrej woli ludzi. Czuję, że doświadczenie, jakie przez tyle lat zdobyłem, pozwoliłoby mi uczynić zadość takim wykładom i urządzić szkołę. Sprawa to ważna i pilna. Zresztą nie o jedno pismo tu idzie. Drugie pismo ludowe w Warszawie, jakkolwiek prowadzone jest zbiorowymi siłami i usilnie stara się iść śladami „Gazety Świątecznej”, pod względem opracowania całego materiału bardzo wiele pozostawia do życzenia, co najlepiej sami czytelnicy stwierdzają. A co się dzieje za kordonem? Cieszymy się, że tyle pism tam wychodzi, że mają licznych czytelników. Powinny mieć ich jeszcze więcej, bo pod pruskim panowaniem wszyscy czytać umieją, korzystają z praw politycznych, konstytucji i jeśli nie polskie, to choćby niemieckie pisma czytać będą. Dobrze, że są tam pisma polskie, starajmy się o ich rozwój jak największy. Ale baczmy na ich treść i jakość! Ileż tam lichoty, niedołęstwa i nieuctwa! Jaki język popsuty! Jaka powierzchowność i jednostronność i w doborze, i w treści artykułów! I dla tamtych prowincji należałoby wyrobić przez specjalne studia pracowników odpowiednich. O pracy nad tym właśnie, o potrzebie jej myślę i pragnąłbym się jej oddać. Ale pogodzić jej z dotychczasowymi obowiązkami nie mógłbym, czasu i sił by nie starczyło. Ha, pomyślisz, kiedy jednego z drugim pogodzić nie może, to trzeba trzymać się tej pracy, jaka jest, a o innej nie marzyć. Ale ba! Właśnie „Gazeta Świąteczna” najbardziej mi leży na sercu, o byt jej mi idzie i dla jej dobra, dla dobra jej celów tamto drugie jest konieczne.

Od lat trzydziestu już nie miałem ani jednego tygodnia zupełnego wypoczynku. Praca i niepokój nieustanne. Od lat zaś 19 życie pędzę gorączkowe, spiam 5 — 6 razy na tydzień, a często bardzo 24 — 48 godzin bez

przerwy czynnym i przytomnym być muszę, nie kładąc się ani na chwilę. Bliscy i lekarze nazywali me zdrowie żelaznym, grożąc jednak, że do pory dzban wodę nosi. Prawdę mówili. Od pewnego czasu mocno na zdrowiu szwankuje. Czuję, że stopniowo jest mi coraz ciężej, gorzej. Lekarze każą leczyć się, a jako pierwsze lekarstwo zalecają oderwanie się od zajęć na czas dłuższy, wypoczynek. W przeciwnym razie zapowiadają szybki i zupełny rozstrój nerwowy, ślepotę, a może i śmierć rychłą. I sam wiem instynktownie, że to wszystko wisi nade mną. Lecz nie mam czasu chorować ani leczyć się. Przemagam się codziennie. Pozostają do wyboru dwie drogi, a zdecydować się należałoby szybko, którą z nich wybrać:

1) Piersza droga — ta sama, po której kroczę dotąd. Pracować rozpaczliwie, wydawać z tygodnia na tydzień pismo i wkrótce paść na stanowisku, niedołącznym lub martwym. Sumieniu memu to nie zaszkodzi, ale spokojnie dokończyć żywota mi nie da. Bo cóż się stanie z pracą moją? Ci czytelnicy, których się wyrobiło, może już nie zdziczeją, będą się starali o jakąś strawę umysłową. Ale czyż na tym już poprzestać wypada? Masy powinny żywić się dalej, szerzej a szerzej. A co z „Gazetą Świąteczną” się stanie? Prawni moi sukcesorowie, żona i dziewięcioro dziatwy, postarają się może dalej ją wydawać, choćby dlatego, żeby nie mieć głodu. Więc wychodzić jakoś będzie, ale jak? Gdzie następcą do mej pracy? Na jakie drogi on pismo wprowadzi? Gdzie jakakolwiek gwarancja, że i jak odpowie zadaniu? Nie! Prosty rozsądek i troska o byt i dalszy rozwój sprawy, której początek zrobiony, nie pozwala mi poprzestać na takiej drodze. Więc jakaż inna? Oto:

2) Pókim żyw i nie wyczerpany jeszcze z sił do pracy, powinienem przekazać wydawnictwo „Gazety Świątecznej” komuś pewnemu, kto dalszymi jej losami przejmie się, zainteresuje bezpośrednio, kto ważność jej cenić potrafi i będzie nad jej redakcją czuwał. Jeśli kogoś takiego znajdę i wydawnictwo będzie ode mnie przyjęte, wtedy przygotuję pewien zapas materiałów do druku, zorganizuję z tych sił, jakie już są, i może przy pomocy kogoś nowego redakcję zastępczą, tymczasową i oddam się na parę miesięcy kuracji zaleconej przez lekarzy. Następnie, wypocząwszy i wzmocniwszy się na zdrowiu, rozpocznę pracę nad przysposobieniem teoretycznym i praktycznym odpowiednich kandydatów do dalszego prowadzenia „Gazety Świątecznej”. O ile mi też czas pozwoli, będę sam jej współpracownikiem (choć już nie redaktorem ani wydawcą). Jednocześnie też wezmę się do wykończenia i puszczania w świat paru dziesiątków mych prac i wydawnictw książkowych, które uważam za potrzebne; a dziś dla braku czasu zaniedbywać muszę...

Taki jest mój plan i sprawę tę całą uważam dziś za najważniejszą i najpilniejszą w dziedzinie wydawnictw mających na celu rozwój duchowy szerokich mas naszego narodu. Możliwe to, że ty, Adamie, lub

ktokolwiek inny zaśmiejecie się z politowaniem nade mną. Skoro jednak mam być szczerym, wypowiadam to, co jest najgłębszym moim przekonaniem. Wobec tej sprawy wszelkie inne wydawnictwa przy panujących dziś jeszcze wśród inteligencji naszej poglądach i przy siłach piśmienniczych, jakimi naród nasz rozporządza, wydają mi się rzeczami bardzo podrzędnymi i nie wiodącymi wprost do celu.

A teraz wracam jeszcze do pierwszego okresu w drugim punkcie, dotyczącym dróg, jakie widzę przed sobą. Nadmieniałem tam o potrzebie przekazania wydawnictwa „Gazety Świątecznej” komukolwiek. Jak i na jakich warunkach może się ono odbyć? Sam dla siebie potrzebuję niewiele, ale mam liczną rodzinę i wychowywać muszę gromadkę dzieci. Pozbywając się jedynego sposobu do życia i utrzymania rodziny, muszę też jej losy zabezpieczyć. W tym celu wartość „Gazety Świątecznej” musi być oszacowana i przekazanie jej w inne ręce może odbyć się drogą spłaty pieniężnej. Lecz kto ma być jej nabywcą? „Gazeta” nie jest zwyczajnym towarem na sprzedaż. Jej powodzenie i cele nie przestaną mnie i nadal obchodzić. Chciałbym więc koniecznie upewnić się, że pójdzie ona dalej w tym samym kierunku jak dotąd, że nie zejdzie na żadne manowce ani gwoli jakim bądź złudnym dążnościom, ani w widokach spekulacyjnych, połujących li tylko na zyski materialne jak największe i co za tym idzie — na jak największą liczbę przedpłatników, których się pozyskuje przez wyzyskiwanie namiętności lub schlebianie słabostkom. Chciałbym też uchronić „Gazetę Świąteczną” od częstego przechodzenia z rąk do rąk. Dlatego nierad bym odstępować jej jednej osobie, lecz pragnę ją przekazać liczniejszemu gronu ludzi z różnych sfer, którzy by utworzyli spółkę udziałową, z udziałami np. po 1000 rubli. Mógłbym i sam do tej spółki należeć, biorąc jakiś udział na siebie.

O materialny byt „Gazety Świątecznej” i jej współwłaścicieli żadnego powodu do obaw nie widzę. Najcięższe pod każdym względem lata „Gazeta Świąteczna” przetrwała, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa nieprzewidzianych przeszkód na swej drodze nie napotka. Wspólnicy będą też mieli od swych udziałów zysk pewny. Gdyby „Gazeta Świąteczna” zatrzymała się tylko na tej liczbie przedpłatników, jaka jest w tym roku — czego nawet nie przypuszczam, bo dotąd liczba ich z każdym rokiem stale się zwiększa, to zysk czysty do podziału, po opędzeniu wszelkich kosztów wydawnictwa, honorariów autorskich itd., wynosiłby minimum 6000 rubli rocznie. Księgi rachunkowe i dowody, rozumie się, są do sprawdzenia. Na uwadze zaś mieć należy nie tylko spodziewany prawie na pewno wzrost liczby przedpłatników, a stąd i zysków przy dotychczasowym stanie „Gazety”, ale jeszcze i nie wyzyskane wcale przeze mnie sposoby podniesienia poczytności pisma i dochodu z niego. Oto: 1) można pozyskać prawo umieszczania w „Gazecie” ilustracji, na czym pismo zyska

wiele w oczach mas, 2) można przy „Gazecie” drukować choćby cały arkusz dodatku z ogłoszeniami płatnymi, o które przy takiej ilości nakładu bardzo łatwo, 3) spółka niechybnie znalazłaby większe poparcie dla „Gazety Świątecznej” w sferach inteligencji za pośrednictwem i swych osobistych stosunków, i pism dla inteligencji wydawanych, a z którymi ja, przy moim braku sprytu i czasu wolnego, żadnych stosunków nie utrzymywałem.

Ludzie więc zasobni w grosz na udziały, jeśli taką spółkę utworzą, podtrzymując i utrwalając pracę poczętą, a dziś lub niezadługo wystawioną na niechybne w razie dalszego osamotnienia przerwanie się i zanik, spełnią przysługę społeczeństwu, do jakiej mają obecnie wyjątkową sposobność, przysługę stokroć donioślejszą od wielu innych przedsięwzięć, o których dużo się mówi i pisze; z drugiej zaś strony, o czym jestem najmocniej przekonany, zrobią jednocześnie dobry interes finansowy.

Planu, o którym Ci donoszę, prawie przed nikim jeszcze nie rozwijałem. W odpowiedzi zaś na Twę zapytanie komunikuję go Tobie w tej myśli, azali i tam w Twym sąsiedztwie ci, którym sprawa wydawnictw istotnie pożytecznych leży na sercu, nie uznają trosk moich za słuszne, a planu mego za dobry i zamiast skierować swe siły i chęci do rzeczy nieokreślonych i niepewnych, nie zapiszą się, choćby w pokąźniejszej liczbie, na kandydatów do przyszłej spółki. Polecam to Twej pieczy i uznaniu. Czas jest drogi, siły moje niepewne, wiadomości od Ciebie będę rychło oczekiwał.

Tymczasem ściskam Cię i całuję

Konrad